

— Prawda, że Stasia ślicznie wygląda? Ona jest bardzo ładna... — zwróciła się niespodzianie do Montwiła.

— Owszem... tak... ładna...

— I bardzo miła — ciągnęła dalej Anielka — Chciałabym mieć jej usposobienie — takie wesołe, swobodne... A serce ma złote — to bardzo dobra dziewczyna.

— Ależ tak, bez wątpienia panna Stanisława jest bardzo dobra i miła.

Montwił był coraz więcej zdziwiony tym nagłym zwrotem rozmowy.

— A panu jak się podoba Stasia? — badała dalej Anielka.

— Doprawdy... trudno trochę odpowiedzieć na to pytanie... Jak mi się podoba... W towarzystwie jest istotnie bardzo miła, żywa, dowcipna, ale jeżeli chodzi o moje osobiste upodobania, to wolę kobiety mniej gadatliwe, mniej trzpiotające się, no i mniej kapryśne.

Anielka uspokoiła się. Jeżeli Montwiłowi Stasia nie podobała się prawdziwie, to wcześniej, czy później byłby się od niej odsunął.

A do miłości nie można przecież nikogo namówić!

Ze spokojem już teraz sumieniem pytała dalej:

— Czy zauważył pan, jak się zmieniła Hanka? Wylądowała, odmłodziła, nawet ubrana inaczej, niż zwykle... Zupełnie jakby nie ta sama.

— Istotnie i mnie to uderzyło...

Anielka ściagała przez chwilę wzrokiem oddalając się postaci siostr Staszyńskich i ich towarzysza. Kiedy zniknęli jej z oczu, zwróciła się znowu z pytaniem do Montwiła:

— Kto jest ten pan, który szedł ze Staszyńskimi? Widziałam, że pan mu się uklonił.

— To jest porucznik, który ranny przyjechał z frontu... Poznałem go niedawno — odpowiedział wymijająco.

— Widzę, że porucznik, że ranny, także nie trudno odgadnąć, ponieważ rękę ma na temblaku... Ale jak się nazywa?

Montwił chwilę nie odpowiadał.

— Krzycki — wyrzekł wreszcie niepewnym głosem...

— Krzycki... Krzycki... — powtarzała Anielka — Słyszałam już to nazwisko... Ależ to chyba nie ten sam, który oddał panu wówczas w szpitalu... te pamiątki dla mnie?...

Usta Anielki zadrgały boleśnie...

— To jest ten sam — odpowiedział Montwił, nie chcąc ryzykować kłamstwa.

— Jak to pan mi tego nie powiedział?! Ależ ten człowiek mógłby mi może dużo rzeczy opowiezieć... On widział może ostatnie chwile... Boże!

Montwił po raz pierwszy przekonał się, że oczy Anielki mogą błyszczeć także gniewem.

Zaczął się usprawiedliwiać trochę nie pewnie, ale Anielka rozgniewana, wzburzona, nie słuchała go.

W tej chwili odczuła do Montwiła coś, jak nienawiść, widziała w nim wroga, który usiłuje ją oderwać od wspomnień najdroższych, od myśli o ukochanym człowieku, który przecież żyć mógł teraz tylko w jej pamięci...

Wstała z ławki i tonem bardzo ostrym rzekła:

— Rości sobie pan stanowczo zbyt wielkie prawa do opieki nade mną... Nie jestem dzieckiem i wiem, co mam robić, jak czuć i myśleć... Nie uznaję tej przesadnej troskliwości, bo nie jestem chorą, ani upośledzoną na umyśle...

Szła teraz krokiem równym, szybkim, nie oglądając się wcale na swego towarzysza...

Montwił bardzo błędy z pochyloną głową dostrzymywał jej krok. Widząc rozdrażnienie Anielki, nie próbował się nawet tłumaczyć, nie odpowiadał nic... Przyznawał się zresztą do tego sam przed sobą, że zarzuty, jakie go spotkały, były po części słuszne... W tym wypadku kierował się nie tylko troskliwością o nerwy Anielki, ale i w znacznej części egoizmem miłości...

Na ławce, koło której przechodzili, siedziało kilku żołnierzy-rekonwalescentów. Jeden z nich, młody jeszcze bardzo chłopiec, silny brunet o smagłej cerze i palących czarnych oczach, trzymał w ręku skrzypce i grał. Grał nieuczenie, bez sztuczek technicznych, ale z porywającym ogniem i temperamentem, grał jakąś upojną, zawrotną, napół dziką melodyję węgierską. Szalała w strunach jego skrzypiec werwa czardasza i dyszał zar miłosnej pieśni cygańskiej.

Koło ławki zebrała się spora gromadka osób. Przechodnie przystawali i słuchali.

I nagle po twarzy Anielki zaczęły się toczyć ciche, wielkie łzy.

W tej rozszalałej pieśni miłosnej dla niej dźwię-

czała nuta rozpacz: już nigdy! już nigdy! nie wróci! nie wróci!

Montwił pochylił się ku niej i mówił coś spiesznie, gorączkowo, błagalnie.

Z początku nie słyszała go wcale, ale głos jego przenikał powoli do jej świadomości. Zaczęła rozumieć, że to słowa miękkie, dobre, kojące... Ustępował z serca żal do niego, a wracała wdzięczność.

— Jaki pan dobry, panie Stanisławie — szepnęła.

— — — — —

— Ciocia idzie, nasza ciocia idzie! Hurra!

Tym radosnym okrzykiem przywitał Jurek Legionista wchodzącą do sali szpitalnej panią Wolską.

Jurek, który był już rekonwalescentem, pospieszył do pani Krystyny, odebrał od niej kilka paczek i przyniósł krzesło.

Inni żołnierze siadali na łózkach i zwracali ku niej rozjaśnione twarze.

— Już tak dawno pani u nas nie była — mówił z wymówką Jurek — a myśmy się za naszą ciocią stęsknili.

Jurek nadał pani Krystynie przydomek „naszej cioci“, który się przyjął w całym szpitalu. Chorzy nie nazywali pani Wolskiej inaczej, jak „ciocią“.

Nie obrażała się bynajmniej tą poufałą nazwą, przeciwnie, sprawiało jej to przyjemność, wskazując dowodnie, z jaką sympatią odnoszą się do niej jej protegowani.

Pani Krystyna w postępowaniu swoim z odwiedzanymi przez się chorymi miała specjalny wdzięk i takt, płynący nietylko z wyrozumowania, ile z wrodzonej dobroci serca.

Nie czyniła nigdy najmniejszej różnicy między jednym a drugim pacjentem, a jednocześnie odnosiła się do każdego z taką serdecznością i troskliwością, że mogło mu się zdawać, że to jego właśnie otacza jakąś szczególniejszą opieką i sympatią.

— Zaczarowała pani chyba moich pupilów — wtrąciła z uśmiechem panna Zofia Rasińska — tak za panią tęsknią i marzą o pani odwiedzinach.

Pani Krystyna, uradowana temi słowami, tłumaczyła się.

— Ależ ja przychodziłabym częściej, tylko nie mam czasu... Praga wielka, szpitali w niej dużo, a w każdym prawie szpitalu leżą jacyś Polacy... Trzeba wszędzie zająć, aby nikogo nie pokrzywdzić. No a tutaj do was to jeszcze stosunkowo najwięcej odwiedzających przychodzi.

— A była tu wczoraj jakaś pani czy panna — opowiadał Jurek — przyszła wystrojona, naperfumowana — rozejrzała się po sali, popatrzyła na wszystkich, zapytała pannę Zofię o nazwisko i poszła sobie, nie przemówiwszy do nikogo ani słowa. Widocznie nie podobaliśmy się jej. Chciałem za nią zrobić perskie oko, tylko mi panna Zofia nie pozwoliła.

— Ależ, panie Jurku, jakże można być tak niegrzecznym. Ta pani prawdopodobnie szukała kogoś, a ponieważ nie znalazła, więc odeszła.

— O nie! Nie szukała, bo byłaby od razu powiedziała nazwisko... To napewno jakaś stara panna, która myśli, że funtem cukierków i pudełkiem papierosów kupi sobie w jakim szpitalu męża... Wśród nas nie znalazła widocznie odpowiedniego kandydata.

— Szkoda, że Jurek nie ma jeszcze wąsów, bo może byłby zyskał aprobatę... — zaśmiał się saper Poniewicz.

Nawet saper się jej nie spodobał — odciął się Jurek — chociaż się świeżo ogolił i podkręcił sobie wąsy à la „pan Wołodjowski“.

— Znowu zaczynacie się kłócić — śmiała się pani Krystyna — Ej! Bo się rozgniewam i pójdę sobie zaraz, a i tak niewiele mam czasu... Muszę pojechać do bardzo oddalonego szpitala, gdzie leży, wyobraźcie sobie, jeden tylko, jedyny Polak... — Z trudem go odszukałam... Jak się też biedak ucieszył, od dłuższego czasu bowiem nie słyszał polskiej mowy. Obiecałam mu dzisiaj przynieść kilka książek, muszę dotrzymać przyrzeczenia.

Pani Krystyna przerwała wzruszona, bo w myśli jej stanął obraz ciężko rannego żołnierza, któremu po wynędzniałej twarzy poczęły płynąć łzy, kiedy przemówiła do niego po polsku.

Leżał tyle tygodni sam wśród obcych, opuszczony, stęskniony...

— Ale pani przyjdzie do nas na Święta — upominał się Jurek.

— Naturalnie, przyniosę jajka „święcone“ — podzielimy się.

— Będziemy sobie składać wojenne życzenia — odezwała się panna Zofia — a w tym roku życzeń i pragnień nam nie brakuje, mamy ich więcej, niż kiedykolwiek.

— Eh! Cóż to będą za święta w szpitalu — westchnął Poniewicz.

— Jeszcze smutniejsze będą mieć ci w polu, zamiast dzwonów kościelnych, zagrają im granaty i szrapnele.

— A ci w barakach — rzekł smutnie jeden z żołnierzy, który miał żonę i dzieci w barakach w Choceniu.

— A ci, co zostali w kraju, myślicie, że będą mieli lepiej i weselej...

Na te słowa jeden z rannych tak mocno załamał ręce, że kości zatrzęszczały w stawach.

— Oj! Moje dzieci, moje dziecięta, gdzie wy się teraz poniewieracie!... — jęknął — może na święta nie będziecie miały dachu nad głową, kęska chleba do ust... Może tam Moskal popalił, poniszczył wszystko...

Pani Krystyna z trudem powstrzymywała się od łez, panna Zofia posępnie wpatrzyła się w przestrzeń. I ją oprócz trosk ogólnych gnębiły cierpienia osobiste, o których nie wspominała jednak nigdy...

Z zadumy wyrwał ją głos pani Krystyny, która pytała:

— Czy przybył kto nowy do szpitala?

— Czy przybył kto nowy... — powtórzyła panna Zofia — Owszem... tak... przywieziono młodego chorążego Polaka. Leży na oficerskiej sali.

— Może pani będzie tak dobra i zaprowadzi mnie do niego. Odwiedziłabym go.

— Chętnie panią zaprowadzę, chociaż wątpię, aby pani mogła z nim rozmawiać. Jest bardzo ciężko ranny, gorączkuje i prawie stale jest zupełnie nieprzytomny.

— Zaniosę mu trochę kwiatów... Zapach kwiatów może sprawić przyjemność nawet najciężej choremu — mówiła pani Krystyna, która sama była miłośniczką kwiatów i uważała, że wywierają one jakiś dobroczynny wpływ na człowieka.

— Chodźmy zatem.

Pani Krystyna poleciła Jurkowi, aby rozwiązał paczki i rozdzielił ich zawartość pomiędzy kolegów. Wzięła ze sobą tylko wiązanek białych i blade żółtych róż o delikatnej, subtelnej woni.

Medyczka zaprowadziła panią Wolską do oficerskiej sali i wskazała jej łóżko nowoprzybyłego.

Pani Krystyna wpatrzyła się uważnie w twarz rannego. Twarz ta płonąca teraz gorączką o popękanych, szczerzających wargach ujmowała przedziwnie miłym, łagodnym wyrazem ust kształtnie wykrojonych.

Pani Krystyna ostrożnie położyła na kółdrze swoje róże. Chory jakby to odczuł i otworzył oczy, oczy wielkie, ciemno-niebieskie, zmętniałe gorączką. Na chwilę jednak błysnął w spojrzeniu promyk przytomności. Ranny spojrzał na leżące na kółdrze kwiaty, odetchnął głębiej, jakby wciągając w płuca zapach róż, obrócił wzrok ku stojącym przy jego łóżku kobietom i uśmiechnął się lekko.

Potem powieki opadły mu znowu.

— Jakże on odniósł rany? — zapytała cichutko, głęboko wzruszona pani Krystyna.

— Ramię i nogę ma strzaskane szrapnelem — odpowiedziała równie cicho panna Rasińska.

— Boże miłosierny! to może on zostanie na zawsze kaleką! Taki młody i twarz ma tak miłą, sympatyczną! Proszę pani, czy on będzie kaleką?!

— Niewiadomo! Jeżeli uda się uratować życie, to może lekarze zdołają go także uchronić od kalectwa...

— Przyjdę jutro dowiedzieć się, jak się miewa. Kto to jest, jak się nazywa? — Medyczka spojrzała na tabliczkę nad łóżkiem.

— Chorąży Kazimierz Walczak.

ROZDZIAŁ XIV.

„Ogrody Kińskiego“ okryły się swoją kwietną wiosenną szatą.

Lekki wietrzyk, poruszając gałęzie rozkwitłych wiśni, grusz, śliw i jabłoni, prószył deszczem białych i różowawych płatków.

Anielka Zurakowska szła zwolna aleją, sycąc oczy cudem wiosennym kwitnących drzew owocowych. Przyszła tutaj po raz pierwszy, aby zobaczyć ten niezwykły park miejski.

To najpiękniejszy w stolicy Czech park-ogród, tak charakterystyczny dla narodu czeskiego. Piękno przyrody, rozkosz estetyczna łączą się tutaj z celem praktycznym. Po kwiatkach przyjdą owoce.

(Dalszy ciąg nastąpi).